BIBLIOTEKA TEATRÓW AMATORSKICH.

Nr. 58.

„MIĘDZY NAMI NIC NIE BYŁO“

Komedja w 1 akcie

ADOLFA WALEWSKIEGO.

LWÓW.
Nakładem księgarni H. ALTENBERGA
(dawniej F. H. Richtera).
1891.

Z I. ZWIĄZKOWEJ DRUKARNI WE LWOWIE.

„MIĘDZY NAMI NIC NIE BYŁO"

komedja w jednym akcie

Adolfa Walewskiego.

OSOBY:

SŁAWUTA.
KAPELAN, jego brat.
ZDZISŁAW.
HULATYŃSKI.
CHATEAU-CLAQUE.
FIFECKI, dyrektor teatru prow.
ANIELA, jego córka.
HONORATA, klucznica.
RYBA, ekonom.
MICHAŚ, służący.

Rzecz dzieje się we dworze Sławuty na wsi.

(Teatr przedstawia salonik we dworku na wsi. W głębi widać ogród z kląbami, kilkanaście krzaków róż, po za ogrodem sztachety. Na ścianach w saloniku zawieszone portrety rodziców Sławuty. Na lewo obok wejścia stary kredens — na prawo przybory myśliwskie. Wysokie dębowe krzesła. Na lewo na przodzie sceny komin, obok komina biórko, na którym w nieładzie papiery, próbki zboża we workach, pęk kluczy, ładunki. — Na prawo na przodzie sceny pianino, kilka foteli i borsucza skóra pod pianinem. Na prawo w drugiej kulisie drzwi prowadzące do kuchni — na lewo w drugiej kulisie drzwi prowadzące do dalszych pokoi.)

SCENA 1.

Sławuta — Zdzisław.

Zdzisław (siedzi przy pianinie i spiewa) „Między nami nic nie było" „Żadnych zwierzeń, wyznań żadnych"!

Sławuta (chodzi po pokoju wzburzony). Nie mój Zdzisławie czego za wiele — to zawiele. Kołków na głowie ciosać sobie nie pozwolę.

Zdzisław. Co się stało wujaszku?

Sławuta. Gdzie wczoraj w nocy byłeś?

Zdzisław (gra na pianinie i śpiewa) „Między nami nic nie było".

Sławuta. Czy ty słyszysz, co ja do ciebie mówię?

Zdzisław. Słyszę.

Sławuta. I wiesz co chcę zrobić?

Zdzisław. Chcesz kazanie palnąć. Zostaw to wujaszkowi kapelanowi.

Chwilkę będzie furioso, a potem za minutę do rany przyłożyć.

Sławuta. I ty wiesz co ja chcę ci powiedzieć?

Zdzisław (wesoło). Że czas już ażebym się ustatkował, ożenił, a potem gospodarował na wsi.

Sławuta (z wzrastającym gniewem). Tak, tak.

Zdzisław. A ty żebyś komedje pisał.

Sławuta. Ty gorsze komedje wyprawiasz, a ja nic nie mówię.

Zdzisław. Jakie?

Sławuta. Od miesiąca codziennie wyjeżdżasz do miasteczka i dopiero nad ranem powracasz.

Zdzisław. I kiedyż mam wracać — mila drogi — czasem burza w miasteczku zaskoczy, pioruny biją — często leje...

Sławuta. Tak leje, ale szampan do twojego gardła i to Boże odpuść jaki szampan!!

Zdzisław. O przepraszam. „Beglückter“ ma doskonałego szampana.

Sławuta. Umizgasz się do aktorek, pieniądze wyrzucasz. Cóż ty myślisz, że ja mam kopalnie złota. (wzdychając) Ja bokami ledwie robię!!

Zdzisław (śmiejąc się). Wiesz co wujaszku, napisz komedje pod tytułem: „Bokami robiący wujaszek“.

Sławuta (patrząc na Zdzisława, mówi na stronie). „Bokami robiący wujaszek“, nie zły pomysł. (głośno) Jeżeli Cyfrowicz nasz sąsiad z Kociej Wulki dowie się o twoich wybrykach, marnotrawstwie, twoje małżeństwo z panną Stanisławą pryśnie jak bańka mydlana.

Zdzisław (lekko). Ej co mi tam! Nie lubię tej rodziny. Cyfrowicz cierpki jak leśne jabłko, nadęty, sknera, matka zawsze w kościele, zawsze modli się, a panna...

Sławuta. No — a panna?

Zdzisław. Ni to — ni owo...

Sławuta. Panna z dobrego domu, skromna, spokojna, nie podoba się panu Zdzisławowi, ty lubisz takie, co zaraz na kolanach siadają.

Zdzisław (z ogniem). Lubię takie, co mają krew w żyłach. (nuci) „Ach krew wre i burzy się — nie wytrzymam nie, z zapału cały drzę“ (robi pozycyę kankana wprost do Sławuty i tańczy kilka taktów, z założonemi rękami za kamizelką). Widziałem jednego, jak on tańczył, świat się kończy, nogą wyrzucał cylinder na głowę — o tak. (pokazuje nogą). Cóż chcesz wujaszku? jestem młody, chcę żyć i życia używać do syta.

Sławuta. I ja byłem młody — bawiłem się, lecz na starość...

Zdzisław. Na starość, zostałeś starym kawalerem.

Sławuta. Zostałem, ponieważ za wiele się bawiłem. Nauczony gorzkiem doświadczeniem, nie pozwolę tobie życia zmarnować. Rodzina panny, jedna z najstarszych w kraju, majątek czysty, podobałeś się, od ciebie zależy...

Zdzisław. Może później. Teraz nie mogę.

Sławuta. Dlaczego?

Zdzisław. Anielka klinem się wbiła w serce moje!

Sławuta (zdumiony). Kto taki?

Zdzisław. Aniela Fifecka.

Sławuta (z większem zdziwieniem) Jaka Fifecka?

Zdzisław. Aktorka z miasteczka. Dziewczyna — oszaleć można. Kiedy patrzę na nią, zdaje mi się, że chodzę po naszej wsi, wśród naszych pól (z ogniem). Jej włosy to nasze zboże, wśród tego zboża, jej oczy, to bławaty, usta niby nasze maki, a uśmiech to słońce, które złoci wszystko.

Sławuta. Aha! więc na takiej wsi teraz gospodarujesz? Rozumiem.

Zdzisław (ze znaczeniem). Jeszcze nie gospodaruję na tej wiosce, ale może wezmę w dzierżawę.

Sławuta. Jak długo ja żyć będę, nie zezwolę na to.

Zdzisław (głaszcząc go po brodzie). Pozwól wujaszku jeszcze rok odetchnąć.

Sławuta. Czas wziąść się do pracy.

Zdzisław. Dosyć się na uniwersytecie napracowałem.

Sławuta. Gdyby nie moje zabiegi, protekcje, jednego egzaminu nie byłbyś złożył. A te bukiety, cukierki, pomadki, wachlarze z kości słoniowej, branzoletki. — Tam na biurku są jeszcze rachunki, które zapłaciłem. Przeglądnij. Powtarzam — dosyć już tego.

Zdzisław (machnąwszy ręką nuci). „Między nami nic nie było“ i t. d. (mówi) Ach jak tę piosnkę Anielka spiewa. Albo gdybyś ją widział jak ona gra w nowej komedyjce „Intryga pod stołem“.

Sławuta. Jakie oni teraz głupstwa grają!! Moich komedji grać już nie chcą. A jednak gdy byłem młody — napisałem komedyjkę pod tytułem: „Serwacy, Pankracy i Bonifacy“. Szalone miała powodzenie. Sąsiedzi ojca, cała rodzina mówili: „Ma talent — wyszlij go za granicę“. — Ojciec chciał, żebym gospodarował tu na wsi. — Nareszcie pewnego dnia, upojony pochwałami, niezliczone razy wywoływany, uciekłem po przedstawieniu z moim guwernerem, panem Chateau-Claque i z bardzo ładniutką aktorką do Paryża. (z komiczną rozpaczą). A teraz moich sztuk grać nie chcą.

Zdzisław. Bo nudne i poważne. Teatr nie ambona — nie szkoła. — Robota francuska qui — pro — quo — dużo pieprzu, hałasu, koziołków, a mało treści; to dziś na scenie popłaca. (nuci) „Ach krew wre i burzy się!!“

Sławuta. Przestań — czego za wiele, to za wiele! Dzisiaj zaproszę sąsiada z Kociej Wulki niby na karty — a ty musisz się oświadczyć. Syn mojej drogiej siostry nie pójdzie na marne. Dziś jeszcze oświadczysz się.

Zdzisław. Nie oświadczę się.

Sławuta (z gniewem). Oświadczysz się!

Zdzisław (zabiera kapelusz i szpicrutę). Ucieknę.

Sławuta (przerażony). Gdzie?

Zdzisław (wesoło). Na dachu będę całą noc siedział.

Sławuta. Gdzie idziesz?

Zdzisław. Do mojego gospodarstwa, tam do „tej aktoreczki“, popatrzę, czy moje bławatki wypiły rosę poranną.

Sławuta (z gniewem). Zdzisławie, nie doprowadzaj mnie do ostateczności.

Zdzisław (wesoło). Wiesz co wujaszku, zamiast gniewać się na mnie, napisz komedyę pod tytułem „Na dachu“. Do widzenia (wybiega środkiem).

SCENA 2.

Sławuta (sam).

A to urwisz! (po chwili). Niezły pomysł. Dzisiaj takie rzeczy bardzo lubią. Qui-pro-quo! dużo pieprzu — zawikłania szalone (chodzi żywo po pokoju i zapala się). Teatr przedstawia dach, zamiast drzwi, które już Francuzi zanadto wyzyskali — dam pięć dymników. Zakochane pary schodzą się na dachu, wchodzą i wychodzą dymnikami. (z coraz większym zapałem). Na scenie ciemno. Mężowie oszukani biorą pokojówki żon za żony, żony biorą przyjaciół mężów za mężów, a przyjaciele mężów biorą żony mężów za pokojówki mężów. Mężowie... (wchodzi Honorata).

SCENA 3.

Sławuta. — *Honorata.*

Honorata. (we drzwiach staje i żegna się kilka razy). Niech będzie pochwalony.

Sławuta. „Na dachu“ (poprawia się). Na wieki.

Honorata (mówi słodko i często oczy w górę wznosi). Proszę jasnego pana, nie mamy cielęciny.

Sławuta. Zaraz moja pani Honorato. Muszę tylko zanotować ten pomysł. (idzie do biórka i pisze mówiąc głośno) „Na dachu“.

Honorata. Wczoraj zginęły nam dwie kury czubate i ten kogut mądry. Masło i jaja zabrał Beglükter — panicz podobno wziął od niego kilkanaście butelek szampana.

Sławuta. Co, kilkanaście? Tego już za wiele.

Honorata. W spiżarni jak wymiótł. Co ja pocznę? Goście jasnego pana jedzą, aż się uszy trzęsą.

Sławuta. Oj jedzą, jedzą.

Honorata. Szczególnie ten Francuz. To dziurawy worek. Niedość, że jasny pan go karmi, jeszcze ogrywa w karty. Kiedyś, z nudów, jak panów nie było, kucharza ograł. Wstyd jak Bozię kocham.

Sławuta. Co ty mówisz? A, tego już za wiele!

Honorata. Albo ten pan Hulatyński, co to ciągle żydów udaje, ten także dobrze się obłowi.

Sławuta. E, nie wiele wygrywają.

Honorata. Nie lepiej to dać na kościół. Chłopi we wsi narzekają, aniołki na chórze rąk nie mają, święty Łukasz podrapany — wstyd jak Bozię kocham.

Sławuta. Trzeba kapelanowi powiedzieć, on poradzi.

Honorata. Ej, to wojskowy ksiądz, co jego nasza parafia obchodzi.

Sławuta. Cóż chcesz, poczciwy człowiek.

Honorata (z pokorą wznosząc oczy do góry). Ale nie ma nic świętego, bożego w sobie.

Sławuta. Moja Honorato, ksiądz także człowiek. (d. s.) A gdybym...

Honorata. Ot... wpadnie do nas raz na pół roku i zaraz na jarmark pojedzie, kupi pług albo żniwiarkę, a potem z radości, że dobrze kupił śpiewa, albo śmieje się z przeproszeniem jak chłop całą gębą; nasi ojcowie z miasteczka tak jakoś przyjemnie się uśmiechają — lubi polowanie, konie, strzelby, psy, leczy dzieci na wsi, a nasi ojcowie z miasteczka tylko się modlą. Pan Bóg go też karze. Ot, niedawno psy księdza proboszcza rozszarpały mu jego ulubioną wyżlicę „Wisłę“. Płakał jak dziecko — nie grzech to za psem płakać.

Sławuta. Ot pleciesz. Miał Wisłę lat piętnaście, ten pies był dla niego wszystkiem (chodzi zamyślony).

Honorata. Lepiejby młodego pana pilnował.

Sławuta (d. s.). Sytuacya byłaby taka: Przyjaciele mężów naznaczyli schadzkę, żon nie ma lecz są pokojówki, mężowie ukryci oczekują chwili stanowczej, gdy wtem nagle przychodzą...

SCENA 4.

Ciż. — *Michaś.*

Michaś (wpada). Taksatorowie, proszę jasnego pana.

Sławuta. Przyjechali! Nareszcie oglądną ten potłuczony jęczmień. Poproś panów do zarządcy — albo nie, poczekaj chwilkę jeszcze. (d. s.) Sytuacya byłaby taka. Jeden z oszukanych mężów woła słumionym głosem...

SCENA 5.

Ciż. — *Ryba*, ekonom.

Ryba (gruby, pękaty, bardzo czerwony, mówi tubalnym głosem). Całuję stopy jasnego pana.

Sławuta (zły). Co tam nowego?

Ryba (uderza się w piersi). Źle bardzo źle! Wszystkie konie ochwacone przez młodego pana.

Sławuta. A to co nowego?

Ryba (j. w.) Konie cugowe nogi mają pozrywane, kareta zniszczona, wierzchowce kuleją, ledwie dyszą. (do Honoraty) Trzeba tego młodzika stąd wygolić, dla nas więcej będzie.

Honorata (do Ryby). I tych darmozjadów wyrzucić, będzie więcej dla kościoła.

Sławuta (odchodząc od biurka). A zboże zniesione do młyna?

Ryba. A jakże, zniesione. Tylko cztery korce gdzieś zginęły.

Michaś (po cichu do Sławuty). Do domu zanosił. Widziałem.

Sławuta (na str.). Oj kradną mnie, kradną.

Ryba. Ja prosty człowiek kłamać nie umiem i powiem, że jak to dłużej tak będzie, to pan Zdzisław wygoli jasnego pana.

Sławuta. Co acan mówi?

Ryba (półgłosem). Jasny pan z Kociej Wulki często o świcie do nas przyjeżdża, dowiaduje się o wszystko. Kiedyś powiedział do mnie: No, ładnie tu gospodarujecie, jak wieś zlicytują, to wam podziękuję.

Honorata. A do mnie powiedział: Jak ja wieś kupię, to całą służbę na cztery wiatry rozpędzę. Czego on się do kłopotów jaśnie pana miesza.

Sławuta. Dobrze robi. Pan Zdzisław jeżeli się ożeni z jego córką, będzie za mnie gospodarował, a pan z Kociej Wulki będzie pilnował wszystkiego.

Ryba. Co? więc to prawda? masz babo redutę! (do Honoraty) Ten nas wygoli

Honorata. Jezu Milatyński! zaleje sadła za skórę.

Sławuta (patrząc na Honoratę, mówi zamyślony). Taka będzie sytuacja.

Honorata. Co będzie?

Sławuta (do Honoraty). Proszę was — stańcie z lewej od publiczności.

Honorata. Co takiego?

Sławuta. Nie rozumiesz, z lewej od publiczności, tu. (stawia ją z lewej). Stoicie na dachu. Rozumiecie? I wy także, panie Ryba.

Ryba (uderza się w piersi). Ja stoję na dachu.

Sławuta. I wychodzicie dymnikiem — i wy także Honorato.

Honorata. Oszalał, chce, żebym ja stara dymnikiem wychodziła.

Sławuta. Wtem wchodzą przyjaciele mężów, biorą pokojówki mężów za żony i rozpoczyna się gonitwa. No, teraz biegajcie z jednych drzwi do drugich, to jest z jednego dymnika do drugiego, chciałem powiedzieć i wołacie: Otóż bąba pękła! — wołajcie.

Michaś. Aha! jasny pan komedję pisze. (Ryba i Honorata żegnają się i nie wiedzą co robić).

Sławuta (zapala się). No biegajcie (z gniewem) i krzyczcie: Otóż bąba pękła! (Honorata, Ryba i Michaś biegają od jednych drzwi do drugich i wołają).

Honorata (wznosząc z pokorą oczy do góry, słodko). Otóż bąba pękła!

Michaś (krzyczy). Otóż bąba pękła!

Ryba (wrzeszczy). Otóż bąba pękła!

Sławuta (wśród tego krzyku mówi do publiczności). Wybornie! Doskonale!

SCENA 6.

Ciż. — Kapelan. — Hulatyński. — Chateau-Claque.

(Hulatyński w skromnej, wytartej kurtce, maleńki kapelusik, blondyn łysy, twarz bardzo ogorzała, wąsy sumiaste, w nieładzie w górę wyrzucone. — Kapelan, czerstwy, włos szpakowaty, krótko po wojskowemu strzyżony, w butach palonych. — Chateau-Claque włosy w wielkim nieładzie odkrywają łysinę, wąsy i bródka siwe, brwi siwe, w rękawiczkach i kamaszach migdałowych — stoją na progu i patrzą na biegających).

Kapelan (śmieje się głośno, serdecznie). Laudetur Domine! A to co?

Hulatyński (śmiejąc się). Wus ist dus?

Chateau (zdumiony). Mon Dieu! Que est queca! Szpital od warjatów?

Sławuta. To moja najnowsza sztuka „Na dachu".

Kapelan. Oj stary, stary! wiecznie tylko głupstwa twej głowy się trzymają.

Sławuta. Powiadam ci, pomysł do farsy znakomity. Zakasuje wszystkich Francuzów.

Kapelan. Nie lepiej to...

Sławuta. Cóż chcesz, starałem się o mandat poselski, powiedzieli, że nie mam wytrwałości, pisałem broszury, ogłosili mnie marzycielem, politykowałem, na nic się nie zdało. Dzisiaj piszę komedje, bo od młodości miałem do tego zamiłowanie. Nareszcie, ta moja ambicja nie szkodzi nikomu.

Kapelan. Tylko tobie.

Hulatyński. Żebyś ty chciał usłuchać mnie i napisał farsę pod tytułem: „Doktor Kubi Atlas".

Sławuta (śmiejąc się). Otóż macie! już wsiadł na swojego ulubionego konia.

Hulatyński (udaje żargon żydowski). Bardzo porządny obiwatel. Naprzykład tę scenę, jak wun raz na balu zakomenderował! „Bitte Wiener Walzer", a te panowie w butach zaczęli krzyczeć „Mazura! Mazura!" Wtedy wun poszedł między bardzo porządni obiwateli, unsere leute, każdy dał dziesięć groszy, zebrał zwei ranysz, rzucił na stół i zawołał: A teraz ja płacę i proszę „Wiener Walzer". Ci w butach go wyrzucili, a on na ulicy wołał: To jest równouprawnienie! To jest szkandał!! (Wszyscy śmieją się prócz kapelana, który machnąwszy ręką, przechodzi na prawo i siada przy pianinie).

Sławuta (do Ryby i Honoraty). Możecie odejść! Niech Ryba powie zarządcy, żeby rozmówił się z taksatorami, ja tam zaraz przyjdę.

Honorata. Jezu Milatyński, co się tu dzieje! (wychodzą).

SCENA 7.

Sławuta. — Kapelan. — Chateau. — Hulatyński.

(Michaś odbiera od panów torby z ptactwem i strzelby.)

Hulatyński (oddając torbę Michasiowi). Wiesz Sławku, dzisiaj nam się nie poszczęściło. Zabiłem tylko jednego krzyka. — Francuz strzelał do szpaków, ale nadaremnie, nic im nie zrobił, tylko jegomość kapelan upolował...

Michaś (który liczył w torbie). Dziesięć krzyków i dwie cyranki. (zabiera torby, strzelby i wychodzi).

Kapelan (śmiejąc się). Jakże mogliście co upolować. Hulatyński wszedł między chłopaków na pastwisko, udawał między niemi belfera żydowskiego, który dzieci uczy „Ałłew - Beis". Francuz w rękawiczkach chodził wśród moczarów i oglądał się czy dziewczyny nie zobaczy.

Sławuta. A to urwisz! Ale a propos dziewcząt, chciałem wam powiedzieć. Zdzisław...

Chateau (poprawia włosy). Gadaj pan jegomość zdrów — to jegomość zobacyl ładna dziewczyna i dlatego tak dobrze polował.

Kapelan (wesoło). Patrzę na wszystko, co Bóg oczom ludzkim rozdaje. Hej, żebym to miał moją wyżlicę Wislę, ale cóż, ten pies Sławka ślepy na jedno oko, a moja Wisła miała węch, oczy, nogi. (siada do pianina i śpiewa) „Hej ty Wisło modra rzeko za lasem. Mam ci ja pęk fujarek za pasem!!"

Chateau (wchodzi pomiędzy Sławutę i Hulatyńskiego). U nas we Francya wszystko lepsy. Pies lepsy, strzelba lepsy. Dlatego ja zabieram pan Zdzisław do Paryża, on tam będzie lepsy.

Sławuta. Właśnie, że pan nie zabierzesz, bo ja postanowiłem...

Chateau. Dlaczego nie? Tam wszystko lepsy. Jedzenie lepsy!!

Hulatyński (klepiąc go po ramieniu) I dziewczęta lepsze.

Chateau. Naturelment! U nas we Francja jak dziewczęta piorą bielizna (mlaszcząc ustami). Ja bardzo lubiał patrzeć na takie dziewczęta,

jak się nad woda schylą — one mają...

Sławuta (z zajęciem). Co?

Hulatyński (t. s.). Co?

Chateau. No — tego — „szyk“!

Kapelan. Tak, ale zdechlaki, a u nas dziewczęta zdrowe, hoże, rumiane jak wschodzące słońce. (nuci) „I ta ładna i ta ładna!“

Chateau. U nas we Francja wszystko lepsy. Necest pas, panie Sławuta? Jak my byli w Paryżu, kiedy ja pana oprowadzal wsędzie... Kiedy ojciec prosił, abym cuwał...

Kapelan (wstaje od fortepianu). Pięknie pan czuwał. Brat zrobił trzydzieści tysięcy długu. (z gniewem) I teraz chciałbyś chłopaka naszej biednej siostry tam w tym Paryżu sponiewierać. O nie!

Sławuta. Ale pozwól bracie, właśnie...

Kapelan. Nie pozwolę, aby francuskie lafiryndy zabrały te resztki naszej spuścizny.

Chateau (z powagą). O pardon! Proszę nie ubliżać. Francja to najpierwszy naród i...

Kapelan. I najniewdzięczniejszy!

Chateau (zrywa się). Co? Tonneres de Dieu!!

Kapelan (zapalając się). Wydrwigrosze!!

Hulatyński. Blagiery!

Chateau (wzburzony). Cofnij pan to słowo!

Kapelan (z ogniem). Nie cofnę.

Chateau. Na końcu szpady odwoła jegomość.

Kapelan. Ja tam nie kucharz, żebym rożnem się bił... (zdejmuje ze ściany dwie szable). Służę panu. Możemy zaraz się rozmówić. Służę! (całuje szable i zabiera się do wyjścia).

Chateau (cokolwiek zmieszany). Jegomość jest bardzo goracy na szable, a ja nie umiem tylko na spady.

Kapelan. Ot, tchórz! w gębie cała odwaga. (zawiesza szable). Byli Francuzi szlachetni i są jeszcze, lecz już bardzo mało.

Chateau. Tonneres de Dieu!

Sławuta. Ależ pozwól bracie!

Kapelan (krzyczy). Nie pozwalam. Tu się urodził, tu niech pracuje, tej ziemi niech odda młode soki, która go karmiła.

Sławuta (krzyczy). Ależ posłuchajcie!

Hulatyński (jeszcze głośniej). Sza Bucher! Der Rabe szpricht. Sza! sza!

Sławuta. Otóż właśnie chciałem wam powiedzieć, ze Zdzisławem źle, bardzo źle!

Wszyscy (przerażeni). Co? co?

Kapelan. Strzela się! } razem.
Hulatyński. Przegrał! }
Chateau. Chory! }

Sławuta. Gorzej jeszcze! Romansuje z jakąś tam aktorką z miasteczka. Marnuje zdrowie i pieniądze. Musimy go wydrzeć ze szpon tych komedjantów.

Kapelan. Et, głupstwo! nie ma niebezpieczeństwa!

Hulatyński. Młody, wyszumi...

Sławuta (do kapelana). Wierzaj mi bracie, bardzo źle, jeżeli rodzice Stasi dowiedzą się, zgubiony będzie na zawsze.

Kapelan. Tam do licha! (chodzi zamyślony po pokoju).

Sławuta. Narobił długów — zabrnie... (z rozpaczą) a potem co?

Kapelan. Niedobry chłopiec! Kiedy przyjeżdżał na wakacje, serce

jego było czyste jak łza, a teraz to wielkie miasto zabrało mu wszystko. Tak, tak — trzeba go ratować.

Hulatyński. Po co? Niech się bawi. Kiedy jeszcze miałem Hulatyn...

Sławuta. Wiemy, bawiłeś się, robiłeś podarunki, wycieczki...

Hulatyński. A no, byłem wesoły (udając żargon żydowski). Doktor Kubi Atlas był wesoły.

Kapelan (zły). A teraz jest goły, żyje na łaskawym chlebie, żydów udaje chyba dlatego, że ci zabrali mu to, co lekkomyślnie przehulał.

Hulatyński (obrażony). Jegomość mnie nie żywi. (do Sławuty) Mój kochany, jeżeli brat codzienne będzie nas obrażał, to...

Kapelan. Bo mi już kością w gardle to gospodarstwo tutaj — brat bokami robi — jedyna nasza pociecha, Zdzisław, niczego się nie nauczył, jeszcze brnie dzięki wam coraz więcej... (uderza pięścią o stół). Ażeby raz już jasne pioruny was wygnały z tego domu!

Hulatyński (poważnie). Panie kapelanie, noszę w herbie dwie trzaski...

Kapelan. Niestety, dłużnicy belkami zasłonili tarczę herbową.

Sławuta (wchodzi pomiędzy nich). Mój bracie, upamiętaj się!

Hulatyński. Wiedz pan, że do mojej herbowej tarczy tylko kulami strzelać pozwalam. Dotychczas jeszcze nietknięta, ale...

Kapelan. Niestety, moja herbowa tarcza dzidami podziurawiona.

Hulatyński (unosząc się w gniewie). Mogę ją rozbić na drobne kawałki.

Kapelan (t. s.). A ja tylko naznaczę. Bo życia dla tej kłótni nie postawię, jam tu potrzebny.

Sławuta (j. w.). Ależ bracie — przyjaciele! Co wam się stało?

Kapelan. Wiedziałam, że chłopak marnuje się, lecz żeby tak daleko zaszło, nie myślałem. Trzeba go ratować! Gdzie Zdzisław?

Sławuta. Wyjechał do tej aktorki.

Kapelan (z energią). Dzisiaj musi się oświadczyć. Zwiążę wrazie potrzeby i zawiozę do Kociej Wulki. Kilka miesięcy, gdy tu u ciebie byłem, zwierzał się przedemną, radził jak ojca, mówił, że Stasię kocha, a teraz od miesiąca jakby go kto oczarował.

Sławuta. Może ta komedjantka dała mu się napić „lubczyku“?

Kapelan (żywo). Starał się o Stasię, kocha dziewczynę — musi się ożenić. Już ja z nim porządek zrobię. A ty bracie pomożesz, dobrze?

Sławuta. Przysięgam — wszystkich sił użyję. I wy moi drodzy zrobicie to dla mnie.

Chateau (podaje rękę). Parol d'honner! (na str.) Jak go zawiozę do Francja, zapomni o tej i o tamtej.

Hulatyński (podaje rękę). Dla ciebie Sławku duszę oddam.

Sławuta. Chwała Bogu.

Hulatyński (przechodzi pomiędzy Sławutę i kapelana). Kiedy dobrze zakończone i silnie postanowione Zdzisia szczęście! Chłopiec ożeni się z panną Cyfrowicz — będzie miał dzieci — dużo dzieci, a ja będę jego dzieci uczył Sugts Kinder. (śpiewa) „Ałłew“. — A stryjaszkowie trzymając śliczne bobaki na

kolanach, będą mi pomagać. No spróbujcie chórem!

Wszyscy prócz *Kapelana* (śmiejąc się śpiewają) Ałlew — Ałlew! *Hulatyński* (na środku udając schylonego nad książką belfera). Sugts Kinder — Ałlew Beis — Ałlew Beis!

Wszyscy (zanoszą się od śmiechu i śpiewają chórem) Ałlew Beis! Ałlew Beis! Ałlew Beis!

SCENA 8.

Ciż. — Zdzisław.

Zdzisław (wpada w kapeluszu na głowie, zabłocony). Panowie, radosna wieść! Dyrektor teatru Fifecki przyjechał i jego córka Anielka!

Wszyscy (zdumieni). Co?

Sławuta. Otóż macie!

Kapelan (ostro). Zdzisławie, powiedz, że nie ma nikogo we dworze. (krzyczy). Rozumiesz, nie przyjmujemy! nie przyjmujemy!

Zdzisław. Już zapóźno!

SCENA 9.

Ciż. — Fifecki. — Aniela.

(Fifecki siwy staruszek, ogolony, starannie ubrany, z torebką podróżną, poważny, cokolwiek wynędzniały, — Aniela ubrana bardzo skromnie, mówi naturalnie, serdecznie, często z humorem).

Zdzisław. Pan Fifecki, dyrektor teatru prowincjonalnego, panna Aniela, jego córka.

Sławuta (zakłopotany, po chwili mówi z przymuszonym uśmiechem). Bardzo mi przyjemnie — Bardzo się cieszę.

Zdzisław. Pan Hulatyński nasz...

Hulatyński (gładzi wąsy) Sąsiad. Pani wybaczy, że w takiej tualecie, ale z polowania powróciliśmy. Nareszcie kawalerowie, nigdy tak przyjemnego towarzystwa jak panie nie oglądamy. (na str.) Ładna dziewczyna!

Zdzisław. Pan Chateau-Claque nasz...

Chateau (przykrywa wąsy swe chustką). Societeur! Madam ma toalette (na str.). Sacre Nom de Dieu, une actrice! epattante!!

Zdzisław. A to mój drugi wuj, kapelan Sławuta

(Kapelan, który bębnił palcami po pianinie, gładzi czuprynę i kłania się po wojskowemu sztywnie).

Fifecki (grzecznie). Bardzo mi przyjemnie. (do kapelana). Grałem kapelana w „Damach i Huzarach“, moja najlepsza rola. W Toruniu z powodu tej roli księża zaprosili mnie na wino do klasztoru. Dobre to były czasy. Sztukę poważną kochano, lecz teraz...

Sławuta. Cóż nam sprawia przyjemność oglądania?

Fifecki. Jutro benefis mojej córki. (serdecznie). Moi panowie, to jedyny mój skarb na tej ziemi. Przychodzimy zaprosić na przedstawienie. (wyjmuje bilety teatralne z torebki).

Sławuta. Z ochotą pójdziemy. Proszę o cztery loże.

Aniela. Gramy w przerobionej na teatr stajni — więc lóż nie mamy.

Fifecki (mruga na córkę). Można by urządzić loże.

Aniela. Nie można przyrzekać tym panom wygód, których nie jesteśmy dać wstanie. (wesoło). Czem chata bogata, tem rada.

Sławuta (do Zdzisława). Porządna aktorka. Nie lubi naciągać, biały kruk pomiędzy niemi.

Zdzisław (do Sławuty). Czarująca dziewczyna! Zobaczysz wujaszku!

Hulatyński (do Anieli). Pani pozwoli, tutaj gorąco. (chce zdjąć jej okrycie).

Aniela. Dziękuję.

Chateau (spieszy do niej, by zdjąć okrycie). O je vous pries Madame.

Hulatyński. (do Sławuty). Apetyczna dziewczyna.

Sławuta (do Hulatyńskiego). Smaczny kąsek. (biegnie do niej, by zdjąć jej okrycie). Proszę, może ja będę ten szczęśliwy.

Aniela. Najstarszemu z wieku ten urząd należy.

Sławuta (bardzo rozanimowany). Więc tedy panie dyrektorze biorę na benefis panny Anieli...

Zdzisław (odbierając od niego przemocą okrycie). „Naszej milutkiej“!

Sławuta. Dziesięć krzeseł i dziesięć galerji dla mojej służby. Cóż państwo gracie?

Fifecki (wyjmuje bilety). Oto są. (Sławuta odbiera.) Rozpocznie dramat „Z dni głodu“, moja najlepsza rola, potem „Chleb ludzi bodzie“, komedyjka w 1 akcie, nareszcie „O chlebie i wodzie“, wodewil, mojej córki popisowa rola, a na zakończenie obraz z żywych osób pod tytułem: „Za chlebem“. (Wszyscy śmieją się).

Fifecki (ze smutkiem). Panów rozśmiesza ten program. Mój Boże, w naszej wędrówce często tak postępować musimy „dla chleba“.

Kapelan. (poważnie). Na cóż więc ta o chłodzie i głodzie wędrówka? Znikąd poparcia, pomocy, giniecie z głodu i utrudzenia. (patrząc ostro na Anielę). Albo upadacie w błoto.

Aniela (patrząc na kapelana z powagą lecz spokojnie). Nie wszyscy są jeszcze tacy, których ręce czyste. (Kapelan idzie w głąb).

Sławuta (po cichu do Kapelana). Bracie, jakoś nie wypada ich wypędzać, biedne aktorzyska.

Kapelan (do Sławuty). Biednych nigdy za próg nie wyrzucałem. Rób co chcesz! Zdzisławowi głupstw robić nie pozwolę. (wychodzi środkiem).

Fifecki (który rozmawiał ze Zdzisławem, Aniela z Hulatyńskim i Chateau — do Sławuty). Gdybym miał wspólnika z pieniądzmi, byłbym Bogusławskim naszej sceny. Niestety, nędza — mnie czeka.

Hulatyński. Ej co tam wiele mówić, nie przerobimy świata. (zbliżając się do Sławuty). Poproś ich, ażeby zostali, będziemy mieli zabawę, ta Anielka to „cymes“ dziewczyna.

Sławuta. Niechże państwo usiędą. Z podróży jesteście zmęczeni. Zdzisławie, bądźże ty gospodarzem.

Aniela. Panowie wybaczą — ojciec kaszle, słabowity, w nocy powracać nie możemy, byłoby to zabójstwem dla niego.

Zdzisław. Nie puścimy ojca. Ja odwiozę w krytym powozie.

Hulatyński. Drzwi i okna pozamykamy.

Chateau. Wyjeżdżać! Cest! impossible!

Sławuta. Koła zdejmę z wozu, a nie puszczę.

Fifecki. Panowie... prawdziwie... nie wiem, jak podziękować za tak serdeczne przyjęcie. Raz tylko, kiedy

grałem w Bydgoszczy Radosta w „Ślubach panieńskich“, moja najlepsza rola...

Hulatyński. Może cygarko.

Fifecki. Dziękuję.

Hulatyński. Ależ panie dyrektorze, proszę wziąć dwa, trzy, cztery, pięć, przyda się na drodze.

Aniela (patrząc na ojca). Ojcze!

Fifecki (który już wziął kilkanaście sztuk cygar, oddaje). Dziękuję, nie mogę palić.

Hulatyński (do Anieli). Pani pozwoli, zmienimy tualetę i zaraz służyć będziemy.

Chateau (do Anieli). Zaraz pani służymy. Au revoir Madame! (patrzy na nią czule, fiksując ją wzrokiem). Pani ma tu więcej... (gest) i tu więcej (gest) jak inne! (wychodzi na prawo).

Hulatyński (n. str.). Śliczna dziewczyna! (gł. do Anieli) Do widzenia. (j. w.) Odbiję Zdzisiowi. Jak mi Bóg miły — odbiję. (wychodzi na lewo).

Zdzisław (do Anieli półgłosem). Mam pani tyle do powiedzenia, proszę zdjąć rękawiczki. (chcąc jej zdjąć rękawiczki) Proszę...

Aniela. Zbyt ubogą jestem, ażebym mogła opłacić tak kosztowną pokojówkę. (zdejmuje rękawiczki i zbliża się do ojca, z którym rozmawia).

Zdzisław (do Sławuty gorączkowo). Wujaszku, oddal się na chwilę, proszę, błagam. Przeczytaj dyrektorowi swoją komedyjkę, z ochotą grać ją będzie...

Sławuta (do Zdzisława). Co mówisz, będzie grał? (na str.) Dobrze, oddalę się, ale ciebie będę miał na oku. (głośno). Panie dyrektorze, chciałbym pomówić z panem o mojej sztuce. (bierze go pod ramię).

Fifecki (rozczulony, mówi poważnie). Mój panie, piękne czasy dla poważnej sztuki minęły. Kiedy grałem Cześnika w „Zemście“, było to w Gnieźnie, nie, to było w Gdańsku, lat temu 30. Kiedy powiedziałem: (deklamuje z szczerem uczuciem) „Ojców moich wielki Boże, wszak gdy wstąpił w progi moje, włos mu z głowy spaść nie może!!“ Płakali — na rękach nas nosili, jakoś tu lepiej było (wskazuje na serce) a dziś...

Sławuta. Dziś, panie, gorączka życia — kosmopolityzm wszędzie i właśnie taką kosmopolityczną sztukę mam w głowie. Posłuchaj pan. Mam czterech mężów... (idą w głąb na werandę, siadają pod oleandrami i rozmawiają po cichu, za chwilę wychodzą do ogrodu w żywej rozmowie).

SCENA 10.

Aniela. — Zdzisław.

Zdzisław (oglądnąwszy się, półgłosem do Anieli. — Cała ta scena aż do odejścia Sławuty z Fifeckim do ogrodu, półgłosem grana). (Gorączkowo) Panno Anielo, nareszcie jesteśmy sami.

Aniela. Enfin Seul! Jak na tym obrazie, przypominasz pan sobie?

Zdzisław. Przypominam, lecz w takim razie ja... (chce objąć ją wpół).

Aniela. O przepraszam! Nie robimy tutaj obrazów z żywych osób.

Zdzisław. Więc pozwoli pani ucałować tę śliczną rączkę?

Aniela. Pozwalam, lecz tylko na scenie.

Zdzisław. O niedobrą pani jesteś!

Aniela. Dodaj okrutna, jak Albin w „Ślubach panieńskich“.

Zdzisław. Ależ na Boga, o niczem pani nie mówisz, tylko o scenie, o teatrze, o sztuce. Bądź przez chwilę kobietą, nie artystką. Odczuwaj jak inne, niech oko twe zapłonie.

Aniela. Moje oczy płoną, lecz na scenie — niestety nasze liche oświetlenie nie dozwala tego obaczyć.

Zdzisław. Na scenie! Wiecznie jedno słowo. Czy pani nie widzisz jak wiele cierpię.

Aniela (koło fortepianu). Nie widzę. Wczoraj byłeś pan bardzo wesołym, a nawet podochoconym przyszedłszy do nas, za kulisy.

Zdzisław. O, przebacz mi pani!

Aniela. A mój Boże, nie gniewam się. Panowie pozwalacie sobie czasem przed pójściem z wizytą do aktorki, kilka kieliszków Cherry lub Malagi, to dodaje fantazji.

Zdzisław. Rozpacz była powodem.

Aniela. Rozpacz? Czy głód i nędza ci dokucza — a może niepowodzenie w zdobyciu nieśmiertelnych laurów.

Zdzisław. Czy tylko głód i niepowodzenie może wtrącić człowieka w takie życie?

Aniela. My często na tej drodze szukamy zapomnienia.

Zdzisław. Na Boga! wszakże jest jeszcze większe zadanie — jaśniejszy cel życia. (Aniela milczy). Nie odgadujesz pani?

Aniela (udając, że się nie domyśla). Nie.

Zdzisław. Cel, do którego wszyscy dążymy. I starzy i młodzi...

Aniela (patrzy na Zdzisława poważnie). Cóż takiego?

Zdzisław. Kochać i być kochanym.

Aniela. Jest stara sztuczka pod tym tytułem. Mój ojciec ją dawniej grywał.

Zdziław (gorączkowo). Panno Anielo! Nie dręcz mnie dłużej. Czyż nigdy w twem sercu nie zadrgała nuta wprost z duszy pochodząca. Czyż serce twe nigdy do tej chwili nie żądało miłości większej... nieskończonej...

Aniela. O nie! Miłość w naszym zawodzie, to zbytek. Miłość odrywa od pracy, a talent, który dopiero próbuje skrzydeł do lotu, często wykoleja. Nareszcie, któżby uwierzył w miłość — aktorki... (zbliża się do pianina).

Zdzisław (patrząc na nią na str.) Czy ona cięta, lub w istocie uczciwa. Dziś, albo nigdy. Musi być moją. (gł.) Panno Anielo, po raz ostatni zapytuję, dlaczego nie chcesz przyjąć odemnie niczego... niczego, nawet tej branzolety z brylantami?

Aniela (zamyka fortepian gwałtownie). Jestem aktorką prowincyonalną, dosyć klątwy nad nami. Twoje kuzynki, siostry, palcami pokazywałyby na mnie: Patrzcie! jakie brylanty, jaki blask, tylko „takie kobiety“ mogą mieć „takie brylanty“ — nie kupiła ich, lecz wyłudziła kosztem swej hańby.

Zdzisław. Nie kobiecie, lecz artystce składamy takie podarunki.

Aniela. Powiedz panie Zdzisławie, wielkim artystkom. Lecz czemże ja jestem? Nic nieznaczącą istotą. Kto o mnie słyszał na wielkim świecie. Kto dodawał zachęty, kto?

(z szczerem uczuciem żalu). W mojej modlitwie często zapytuję Boga, czy ja mam talent. I kiedy patrzę na te nasze upokorzenia, głód, walkę z uprzedzeniami jakie nas otaczają, dusza ma wyrywa się z tych brudnych szmat teatralnych, czuję wtedy, że mam krew, serce, duszę jak inne kobiety.

Zdzisław. A więc porzuć pani ten świat blichtru i błyszczącej nędzy — ja poprowadzę cię na drogę, do której twe serce wyrywa się mimowoli.

Aniela. Pan? Żartujesz! Cóżby świat, rodzina powiedziała? Twoi wujowie? Ty chciałbyś wprowadzić aktorkę prowincyonalną w twój świat? Cóżby ci powiedzieli na to? (wskazuje portrety rodziców Sławuty).

Zdzisław (rozgląda się w koło). Co mnie świat, rodzina obchodzi! Gdy ty będziesz moją, ich sądy są marnym wrzaskiem ulicznym. Słuchaj pani, kocham cię bez granic, tylko mi zaufaj. (z coraz więcej wzrastającym gorączkowym uczuciem) Ubóstwiać cię będę (chwyta ją namiętnie za rękę i tuli do ust) Dzisiaj jeszcze pomówię z twym ojcem.

Aniela (przez chwilę niema, blada, drżąca — patrzy na niego, potem mówi szeptem). Byłożby to możliwe!

Zdzisław. Tak, droga panno Anielo, uczynię wszystko, ażeby cię wydobyć z tego życia bez jutra, które nigdy prawdziwego szczęścia dać ci nie może. O jakże ja ciebie będę kochał.. Rano wypijemy kawkę, wiejską kawkę, trochę sorbetów, bo ja bardzo lubię sorbety — po śniadaniu ja pójdę w pole, popatrzę na zboże, na ludzi, a ty ubierzesz się ładnie w piękny szlafroczek, potem będzie drugie śniadanie — znowu razem — toż to będę cię całował, a gdy ja pójdę do młyna ty będziesz grać na fortepianie — potem obiad, nasz wiejski obiad, upoluję dla ciebie dziczyznę, po obiedzie ty będziesz grać na fortepianie, a ja przejadę się konno, obejrzę pola, ty przez ten czas czekając na mnie będziesz czytała książki, a gdy powrócę kolacyjka, po kolacji ty zagrasz na fortepianie, ja będę cię całował... całował, a ty...

Aniela (z uśmiechem). A ja będę grać na fortepianie. Mówisz jak dziecko.

Zdzisław (z zapałem). O, bo jestem dzieckiem w uczuciu mojem. Kocham cię pierwszą miłością. Czy ty słyszysz, kocham... kocham... Wierzaj, Bóg dla ciebie przeznaczył szczęście, a ty chcesz je odtrącić. O wierzaj i ufaj mi...

Aniela (serdecznie). O gdyby kiedy to szczęście moim było udziałem, gdyby to być mogło...

Zdzisław. Będzie... będzie... przysięgam ci na...

Aniela (przerywa). O nie przysięgaj pan tylko. Lżej bez przysięgi rozstawać się. I pocóż złamana przysięga, jak widmo, ma towarzyszyć wszędzie. Wy panowie, bardzo lekko z ust ją wyrzucacie, nasza przysięga pierwszej miłości jest wszystkiem, złamie często nasze życie, lecz dochowamy ją do ostatniego tchnienia tu w głębi duszy ukrytą.

Zdzisław (z namiętnością). A więc dziś wieczorem powiem ci, jak należy postępować, aby to szczęście było naszym udziałem. Tylko zaufaj mi pani. (chce ucałować jej ramię, Aniela odsuwa się od niego lekko).

Aniela. Panie Zdzisławie!

SCENA 11.

Ciż. — Sławuta. — Fifecki (wracają z ogrodu).

Sławuta (gestykulując). Uważa dyrektor „Na dachu“. Mam jeszcze kilka komedji w tece, ale zanadto poważne dla dzisiejszego pokolenia.

Fifecki. A gdyby pan dobrodziej ze mną do spółki wziął teatr. Ja dam głowę, a pan dobrodziej pieniądze. Nie wiele, maleńki kapitalik.

Sławuta. Pogadamy jeszcze o tem.

Fifecki. Dekoracyjki każemy wymalować, sprawimy nową garderobę, dwie, trzy partyturki...

Sławuta. Dobrze, dobrze, pomówimy o tem. Zdzisławku, moje dziecko idź do kuchni, niechaj podadzą obiad — państwo zmęczeni. (na str.) Trzeba chłopaka oddalić, czerwony jak rozpalone żelazo.

Zdzisław (do Anieli pół głosem). Dzisiaj wieczorem.... (głośno). Dobrze wujaszku. (odchodząc do siebie). Starego spoję, a potem... Anielka będzie moją. (wychodzi w głąb)

Sławuta (bierze Fifeckiego za ramię i ogląda). Pan dyrektor mało musi jeść.

Fifecki. A jednak najlepsza moja rola to był Zagłoba — tu była wata, tu była i tu była (pokazuje po całem ciele). Nadzwyczajne powodzenie.

Sławuta (patrząc na Anielę pożądliwym wzrokiem, pocichu do Fifeckiego). A pani nie ma....

Fifecki (pół głosem do Sławuty). Czego? waty? a Boże uchowaj. Spojrzyj pan.

Sławuta. Państwo wybaczą, mam u zarządcy taksatorów, zaraz powrócę. (patrząc na Anielę półgłosem) Natura! Jak Boga miłuję natura!! (wychodzi środkiem).

SCENA 12.

Fifecki — Aniela.

Fifecki (zbliża się do Anieli). Moje dziecko co tobie?

Aniela (skłania głowę na jego piersi). Nic, nic — mój ojcze!

Fifecki. Główka rozpalona. Przeziębiłaś się?

Anielka. Nie mój ojcze. Lecz patrząc na to, co się tutaj dzieje, jak w obec nas zachowują się, sama nie wiem co myśleć. Doznaję w tej chwili uczucia, jak gdybym stała nad przepaścią, która różnobarwnem kwieciem i wonią zmysły moje mąci, przestrzega i wabi ku sobie, serce moje napełniając tęsknotą.

Fifecki. Co mówisz?

Aniela. Nie wiem — wierzyć, czy stłumić to pierwsze uderzenie serca? (po chwili) Pan Zdzisław powiedział mi, że kocha mnie i ożeni się ze mną.

Fifecki (poważnie). Moje dziecko, Tylko takim paniczom nie ufaj. Pamiętasz Józię — cztery lata czekała, a potem co było...

Aniela. Zdzisław zbyt młodym, kłamać by nie mógł, to byłoby ohydne.

Fifecki. Ci wielcy panowie lepiej od nas grają komedje.

Aniela. Ależ on dziś jeszcze chce prosić o moją rękę.

Fifecki (zdumiony). Dzisiaj? Czy to możliwe? (z odcieniem rzewności). Czy to być może? O Anielo! Anielo! (wznosi ręce do góry). Byłem tylko raz w życiu szczęśliwy, kiedy grałem pierwszy benefis w Kielcach — twoje małżeństwo, będzie moim drugim benefisem! (po chwili). Ależ ty musiałabyś porzucić teatr!

Aniela. Tak ojcze!

Fifecki (żywo z fantazyą). I na to poradzilibyśmy. Jeżeli wujaszek Zdzisława wejdzie ze mną do spółki — ty będziesz czasem na cele dobroczynne występować. Urządzimy ci przyjęcie — bukiety, wieńce. W letnim sezonie kiedy u nas największa bryndza, ja do ciebie przyjadę na wieś. (rozpromieniony). Będę oddychał wiejskiem balsamicznem powietrzem, będę miał prawdziwe drzewa, nie nasz łatany horyzont, lecz prawdziwy — będzie jaśniał nad rodzinnem szczęściem.

Aniela (skłaniając głowę na jego piersi). Lękam się ojcze, czy tylko nie za wiele od losu wymagamy, my biedni aktorowie.

Fifecki (z szczerym zapałem). Za wiele! Dlaczego za wiele! Czy nie czytasz w dziennikach — hrabiowie — książęta, żenią się z artystkami. Moje dziecko pękły już okowy dawnych przesądów, kiedy na święconej ziemi nie chciano nas chować, kiedy z kazalnicy wyklinano nas. Dzisiaj poczucie ludzkości wszystkich na równi stawia — do cesarskich stołów zasiadają aktorowie, a ty powiadasz za wiele. Są między nami ludzie godni wzgardy, lecz są to wyjątki, dla których wszystkich potępiać nie wolno. Czy łotrów, karciarzy, niedobrych żon, matek, nie odszukasz pomiędzy pierwszemi rodzinami, w każdej warstwie społeczeństwa, dla czegoż tylko my pod klątwą zawsze być musimy?

Aniela. Z prawdziwym żalem opuściłabym moją błyszczącą nędzę, choć sama nie wiem, czy mam talent.

Fifecki (z powagą). Masz, moje dziecko, masz — ja, dyrektor to mówię. Tylko niestety, sztuka u nas upada, lepiej na wsi gospodarować. Ja stary nie opuszczę sceny — żyć bez niej nie mogę, lecz ty młoda będziesz gospodarowała, grała (z uczuciem wielkiej radości) jak Modrzejewska! (tuli ją w objęciach serdecznie). Tak jestem szczęśliwy — tak szczęśliwy, że, — że, — że, — (wybucha płaczem).

Aniela. Mój ojcze!

SCENA 13.

Ciż — Sławuta.

Sławuta (staje we drzwiach i patrzy na Fifeckiego i Anielę, zbliża się do nich). Brawo! brawo! państwo robicie próbę z jutrzejszego przedstawienia. A która to scena? Z jakiej sztuki?

(Fifecki ociera skrycie łzy chustką i odchodzi na bok).

Aniela (z uśmiechem udanym). Z najnowszej sztuki „Marzenia biedaków".

Sławuta. Niezawodnie sytuacye powikłane, dużo pieprzu. — Kto jest autorem?

Fifecki. Pański siostrzeniec.

Sławuta. A to hultaj — on takie sztuki pisze, a mnie nic nie

mówił! Hipokryta! Ależ Panie! ja mam kilka w tece. Może przeczytamy jedną, zanim obiad podadzą. (ciągnie go na lewo).

Fifecki (idąc z Sławutą). Z ochotą. Otóż jeżeli przystąpimy do spółki... dekoracyjki — mebelki... (odchodzą na lewo).

Aniela (sama, patrząc za ojcem). Biedny ojcze, jeżeli Bóg dozwoli, ażebym była szczęśliwą i tobie lepiej będzie na świecie.

SCENA 14.

Aniela — Chateau (z prawej — ubrany bardzo gustownie, kwiat w dziurce od surduta, wyczerniony zupełnie, nie do poznania. wąsy, bródka, które były siwe, czarne, zbliża się na palcach do Anieli i mówi półgłosem).

Chateau. Budzę panią, w kolorze, „Qui tire sur le verde". W kolorze, który daje promyk od nadzieja. I dla tego ja chcial z panią na serjo pomówić (zbliża się do niej, patrząc w Anielę miłośnie). Ja mam wiele do powiedzenia, ja... (chwyta ją za rękę, przysuwając się jeszcze bliżej. Aniela odsuwa jego rękę).

SCENA 15.

Ciż. — Hulatyński.

Hulatyński (który wszedł równocześnie przypatrywał się tej scenie parska śmiechem).

Chateau (spostrzegłszy Hulatyńskiego). Ten pajac nieznośny, przeszkadza mi zawsze. (pocichu do Anieli). Dzisiaj wieczorem pomówimy się.

Hulatyński. Oj stary! stary!

Chateau (poważnie). Pardon bez żartów! (do Anieli poważnie). Ja teraz pójdę do kuchni, ażeby obiad dobrze zrobili, bo obiad to ważna rzecz, a potem powrócę. Au revoir Madam! (wychodzi środkiem).

SCENA 16.

Aniela — Hulatyński.

Hulatyński (elegancko ubrany, wyświeżony, wąsy wypomadowane). Jak Boga kocham, pani posiada jakiś lubczyk przy sobie. Cały dom do góry nogami przewrócony od chwili, kiedy przyjechałaś do nas. Stary Sławuta jakby go oczarowało, nadskakuje pani — ojcu — Zdzisław jakby go opętało, cały ogród z róż okrada, nawet to stare francuzisko, to nasze szlacheckie „Krikri", Miłość rozbija w kawałki.

Aniela (wesoło). Na szczęście pan jeszcze cały.

Hulatyński (serdecznie). Albo ja wiem! To tylko czuję, że od chwili kiedy do tego dworku przybyłaś, coś dziwnego się dzieje. Nagle jakby woń róż i rezedy ponad tą starokawalerską siedzibę wniosłaś nam pani. Pani jesteś czarodziejką, rusałką tej wsi.

Anielka. Nie, panie, jestem tylko aktorką z miasteczka przybyłą — a to panów, którzy tu na wsi nudzicie się — wstrząsa chwilowo.

Hulatyński (na str.). Mądra dziewczyna! (gł.) Proszę pani, jednej rzeczy pojąć nie mogę. Pani grywasz role młodych dziewcząt, a tu główka ma rozumek. Oj ma!

Aniela. A pan wyobrażałeś sobie młodziutką dziewczynkę z paluszkiem na ustach, w króciutkiej różowej sukience.

Hulatyński. Z wielkiemi warkoczami, wstążeczką związanemi.

Aniela (serdecznie). Otóż omyliłeś się pan, bo ja lubię psy, polo-

wanie, dobrą strzelbę. Ach nieraz marzyłam o tem, gdybym mogła dosiąść rączego konia, pędzić przez stepy i pola — harty za nami au — au — au — au (naśladując wycie hartów) a my pędzimy jak strzała, konie parskają, z nozdrzy piana się kłębi — a my pędzimy — tu jeleń pada — tam lis ucieka — tu pada strzał.

Hulatyński (patrząc na Anielę z uwielbieniem zapala się). Paff— Paff!! Nareszcie trąbią w kniei, spoczynek — woń zalatuje — wyborny bigosik — palce lizać, śpiewamy wesoło myśliwskie piosenki.

Aniela (śpiewa). Siedzi zając pod miedzą, a myśliwi o nim nie wiedzą...

Hulatyński (śpiewa). Albo! Wśród jarów i głogów!

Aniela (z szczerym zapałem). To mi życie! Czasem czółnem na stawie płynąć. — Księżyc czasem tak pięknie, łagodnie świeci — woda robi plusk — plusk....

Hulatyński. A my sobie koniaczek „gul—gul“.

Aniela. Albo w lesie na murawie usiąść, gdy słońce zajdzie, kiedy cisza w około — posłuchać jak drzewa modlą się — niosąc na drżących listkach wieczorną podziękę Stwórcy za słońce — za rosę.

Hulatyński (żywo). Albo czasem pojechać na jarmark. Tu konia dobrze kupić, tam jeszcze lepiej go sprzedać, to trzaskanie z bicza, to bicie dłoni w dłoń, gdy kupno załatwione, ten gwar, szum, ten szwargot. Pani, jak ja z żydami umiem mówić na jarmarkach. To mi rozkosz!

Aniela (serdecznie). O tak! tak! Żyć, żyć całą piersią!

Hulatyński. Cudowna dziewczyna! I pani podoba się takie życie?

Aniela. O bardzo!

Hulatyński (serdecznie). Panno Anielo! Ciebie los w złe ręce oddał. Pani zmarnujesz się za kulisami. Nie lubię kłamać i wyznam ci, że miałem majątek, dziś nic nie mam, ale czeka mnie sukcesyjka po starej ciotce, wszystko u nóg pani złożę — porzuć teatr. Chodź ze mną!

Aniela. Gdzie?

Hulatyński. Maleńki dworek, wśród lasu, rzeczka w pobliżu, kilkadziesiąt morgów dobrej pszenicy, tam zawiozę cię do ciotki, uklęknę i powiem: „Ciotuniu — ustatkowałem się, kocham tę pannę, chcę się ożenić.“ Ciotka pobłogosławi i tam wśród pól i lasów, pieski będą, bigosik będzie, a potem pohulamy sobie na szerokim świecie. — Dobrze?

Aniela (z uśmiechem sarkastycznym). Namyślę się jeszcze — dobrze?

Hulatyński. Jak Boga miłuję, panno Anielo, ty masz jakiegoś wabika w sobie. Tak mnie ciągnie do ciebie jak kuropatwę — twoje oczy robią tiu — tiu — tiu — liu — a moje serce wywala ślipia, patrzy i słucha, a ty paff! paff! (naśladuje strzał z dubeltówki) do mnie i oto mnie masz u nóg twoich. (klęka).

SCENA 17.

Ciż — *Kapelan* (który wszedł przed chwilą).

Kapelan (do Hulatyńskiego szorstko). Laudetur Jesu Christe! Szczęście, że nie ma mojej wyżlicy, bo by cię Hulatyńsiu w pysku do pani przyniosła.

Hulatyński (na str.). Stary moralista! (Do Anieli pocichu). Dzisiaj wieczorem pomówimy o wszystkiem. Do widzenia. (odchodząc — na str.) Zamówię wózek i tę śliczną aktoreczkę wykradnę — (wychodzi środkiem).

SCENA 18.

Aniela — *Kapelan.*

Aniela. Ratuj kapelanie, bo zginę w powodzi oświadczyn.

Kapelan (ostro). Moja panienko, tonących w wodzie ratowałem, lecz tonących w wielkiem głupstwie nie mam zwyczaju.

Aniela. Wszakże Chrystus powiedział o Magdalenie: „Kto z was bez grzechu, niech rzuci kamieniem“.

Kapelan (zdumiony). No tak, ale... (na str.) A to mnie zajechała! (gł.) Mądra z pani dziewczyna.

Aniela. Nas bieda dojrzalszymi nad wiek robi.

Kapelan (patrząc na nią). To prawda, pan Zdzisław może to najlepiej osądzić.

Aniela. Wszakże i pan byłeś młodym.

Kapelan. Jużci, że byłem. Lecz takich głupstw jak Zdzisław nigdy nie robiłem.

Aniela (łagodnie). To być nie może. Nie byłbyś człowiekiem.

Kapelan (nie wiedząc co powiedzieć — na str.) A to śmiała dziewczyna! Mnie jak z kopyta. (gł.) Ależ nie...

Aniela. Nie wierzę. Kto ma oczy tak pełne dobroci, musiał kiedyś zaglądnąć w serce kobiety serdecznie.

Kapelan (zakłopotany — na stronie). Obcesowa aktorka. One to umieją.

Aniela. Wiem co myślisz, w tej chwili o mnie. Aktorka gra komedję ze starym. (szczerze) Bóg świadkiem moim mówię szczerze.

Kapelan. Szczerze!! Ależ panie z teatru podobno nigdy prawdy nie mówicie. Wasze serca to takie „teatralne serca“.

Aniela. Dlaczego? Czy matka wydając mnie na świat, nie była kobietą, jak twoja, czy nie uczyła mnie pacierza, nie wpajała w serce tych słów, które tobie matka mówiła.

Kapelan (łagodniej). To prawda, ale mówią...

Aniela. Na Boga mówią — niech wszyscy mówią, lecz ty, do którego sama nie wiem dlaczego tyle mam zaufania, ty nie mów tak do mnie. Wszakże i w naszej piersi Bóg serce umieścił. Czy klątwa nad nami i miłość naszą depcze na drodze życia?

Kapelan (po chwili). Miłość! Moje dziecko, miłość to kwitnąca róża, pełna zapachu i barwy cudownej. Bóg daje ją każdemu raz tylko w życiu... lecz często, kiedy wyciągamy dłoń po nią, aby ją nachylić ku sobie, poić się jej wonią, im silniej ją przycisnąć chcemy, krwawi nam ręce, a potem . . . (urywa).

Aniela (serdecznie). A więc i ty musiałeś spotkać na drodze życia ten kwiat cudowny, do którego wszyscy... wszyscy dłoń wyciągamy.

Opowiedz mi szczerze, może twoje doświadczenie oświeci mnie, doda otuchy, a może... O! — opowiedz! Uwierzę twym słowom, bo czuję głęboko, że pod surową pokrywą złote posiadasz serce.

Kapelan (patrzy na nią i mówi po chwili z głębokiem wzruszeniem). A więc powiem ci szczerze, bo widzę, że dobrą jesteś dziewczyną. Kto wie, może moje kolce ostrzegą ciebie na dalszej drodze twego życia. (po chwili) — Słuchaj — I mnie pierś skrwawiono i mnie serce rozdarto, dlatego widzisz mnie dzisiaj w tej sukni kapłańskiej. Byłem wesoły, kochałem świat cały, Boga i ludzi jak dzisiaj... Kiedy pierwszy raz w życiu byłem u jej rodziców — spiewała — (nuci) Ach Róży — ach Róży — (nagle urywa, zakrywa twarz rękami i płacze) (po chwili). Miała głos tak piękny, tak dziwnie w mą duszę wpadający, byłbym w piekło za tym głosem podążył. Była tak dobrą — tak dobrą. — Już mieliśmy się pobrać, niestety brat mój w Paryżu stracił całe mienie, pozostała ta wioszczyna w połowie zadłużona. Co było robić! ja byłem zdrów, mogłem pracować, brat mój hulaszczem życiem zmarnowany — byłby na bruku umarł, zrzekłem się mojej połowy, aby jego ratować — kiedy rodzice panny dowiedzieli się o tem, dali mi kosza — a ona... (urywa) Poszła za majora, bogatego człowieka.

Aniela. I nigdy już jej nie widziałeś?

Kapelan. Złoty kołnierz nie dał jej szczęścia, umarła niezadługo, oddałem się na usługi kościoła, zostałem kapelanem — to mój cel życia — i piękny! Bo żołnierz bijący się bez wiary — to podła gadzina — tchórz!!

Aniela. A mąż jej?

Kapelan. W ostatniej bitwie znalazłem go na polu walki. Dałem krzyż w rękę, szepnął: „Przebacz“ uścisnąłem go serdecznie i wyzionął ducha. Oto widzisz, taką była moja pierwsza i jedyna miłość. Nieprawdaż, ta róża miała kolce... Dlatego nie chcę, aby nasz Zdzisław...

Aniela (serdecznie). Gdy jesteś tak dobrym, powiedz czy chciałbyś zakrwawić me serce?

Kapelan. Nie rozumiem.

Aniela (wachając się). A więc wyznam ci wszystko. Oto Zdzisław kocha mnie i chce pojąć za żonę.

Kapelan (zrywa się). Co? Ależ to być nie może, moje dziecko.

Aniela. Ponieważ jestem aktorką.

Kapelan. Ależ nie dlatego, wierzę, że jesteś uczciwą, ale...

Aniela. Ale...

Kapelan. On kocha!

Aniela. Mnie!

Kapelan. Mylisz się! On kocha córkę naszego sąsiada Cyfrowicza. Bywał w jego domu rok cały.

Aniela. Rok cały!

Kapelan. To małżeństwo już ułożone. Dzisiaj ma się oświadczyć. Cyfrowicz bierze wszystko na siebie, sam będzie gospodarował.

Aniela. O mój Boże!

Kapelan (chodzi po pokoju wzburzony). Ależ to infamja — dał pannie Stanisławie słowo — Ja myślałem — ot zwykłe żarty młodzika, a on! Ciebie dziecko okłamał! to infamja! Już ja go rozumu nauczę! (idzie w głąb i woła do Zdzisława, który z bukietem róż powraca). Hej Zdzisławie! Zdzisławie! chodźno tutaj paniczu!

SCENA 19.

Ciż — Zdzisław (z bukietem róż).

Kapelan. Słuchaj chłopcze! co ty wyprawiasz?

Zdzisław (wesoło). Co takiego?

Kapelan. Jak śmiałeś oświadczyć się pannie Anieli, kiedy wiesz, że małżeństwo z panną Stanisławą ułożone.

Zdzisław (zmieszany). Kto je układał?

Kapelan (z gniewem krzyczy). Ja młokosie! ja!

Zdzisław (bawiąc się bukietem). Od stopni ołtarza jeszcze się rozchodzą.

Kapelan. A słowo, słowo szlacheckie, to furda u ciebie?

Aniela (blada, drząca, mówi spokojnie). Powiedz mi pan, czem zasłużyłam sobie na to, ażebyś tak niegodnie ze mną postępował. Wszakże jednem spojrzeniem, jednem słowem nie wabiłam cię ku sobie, wszakże mówiłam często: nie mąć mego spokoju, oddal się. Odrzuciłam złoto, brylanty, które mi ofiarować chciałeś, bo serce mówiło, że to podłość, od tego, którego kocha przyjmować. Wraz z ojcem głód i nędzę znosiłam, lecz nigdy do ciebie ręki nie wyciągaliśmy o wsparcie — o pomoc. Mówiłam z tobą nie jak aktorka, lecz jak kobieta obdarzona sercem jak inne. A ty kłamałeś! kłamałeś! (z wielkim uczuciem żalu) Kto tutaj komedjantem, kto zasługuje być pod klątwą — ja czy ty?!

Zdzisław (wzruszony cokolwiek jej słowami, mówi serdecznie). Tak, panno Anielo, czuję głęboko, że źle robiłem, lecz niewiarę i cynizm wszczepiają w nas dzisiaj jak ospę. Bez ideału, z pustką w sercu, podobny jestem do wielu, wielu, bardzo wielu. Gorączka, szał, namiętność, kładły w me usta wyrazy, o których serce nic nie wiedziało, lecz teraz...

SCENA 20.

Ciż.

Sławuta (wpada). Teraz nareszcie będzie obiad. (podaje ramię Anieli) Pierwsze miejsce honorowe przeznaczyłem dla „naszej miluchnej artystki“. — Służę pani —

Aniela (żywo i stanowczo). Chodźmy ojcze!

Fifecki. (po cichu do Anieli). Moje dziecko, zostańmy. Dobry objadek — tak dawno... nie jadłem... dobrego...

Aniela (biorąc ojca za rękę mówi z dumą). Nie mój ojcze, jednej sekundy tu zostać nie możemy. (do Zdzisława). Panna Stanisława nie dowie się o niczem, pan będziesz szczęśliwym, mnie boleść i cierpienia, które mej duszy zadałeś, dodają skrzydeł do lotu — no... a zresztą (tłumiąc łzy, mówi z udanym uśmiochem). „Między nami nic nie było, (wybucha płaczem). Wszystko dobrze się skończyło!! (wybiega środkiem ciągnąc Fifeckiego. — Wszyscy zdziwieni. — Sławuta patrzy z osłupieniem na Kapelana, który zamyślony wlepił oczy w Zdzisława).

Zasłona spada.

KONIEC.

Dla teatrów amatorskich!

poleca księgarnia

H. ALTENBERGA (dawniej Richtera)

we Lwowie

Bibliotekę teatrów amatorskich,

której ostatnie tomiki zawierają:

Nr.	Tytuł	zł.	ct.
Nr. 35.	Zaślubiny z przeszkodami, kom. w 1 akcie E. Labiche, przekład z francuskiego A. Walewskiego	—	40
Nr. 36.	Żywy nieboszczyk, kom. w 1 akcie, G. Belly	—	40
Nr. 37.	Filiżanka herbaty, kom. w 1 akcie, z francuskiego	—	40
Nr. 38.	Przysięga Horacego, kom. w 1 akcie, H. Murger, tłómaczona przez Stanisława Jasińskiego	—	40
Nr. 39.	Postrzelony, kom. w 4 aktach, A. Wiesiołowskiego	—	80
Nr. 40.	Opiekun w zalotach, komedja w 2 aktach, J. Blizińskiego	—	80
Nr. 41.	Wicek i Wacek, komedja w 4 aktach Zygmunta Przybylskiego	—	80
Nr. 42.	Państwo Wackowie, komedja w 4 aktach, Zygmunta Przybylskiego	—	80
Nr. 43.	Monologi, zeszyt pierwszy	—	40
Nr. 44.	O Józię, fraszka sceniczna w 1 akcie, M. Bałuckiego	—	40
Nr. 45.	Na przystanku, kom. w 1 akcie, Czesława Pieniążka	—	40
Nr. 46.	Biały wachlarz, kom. w 1 akcie, Czesława Pieniążka	—	40
Nr. 47.	Monologi, zeszyt drugi (obejmuje utwory Pieniążka, Coquelina, Kośmińskiego (Paul de Coś), Greville, Konarskiego i Bożydara)	—	40
Nr. 48.	Tyran z miłości, kom. w 1 akcie, Ed. Gondineta, tłómaczenie A. Walewskiego	—	40
Nr. 49.	Ciocia Femcia, kom. w 1 akcie, Madejskiego	—	40
Nr. 50.	Monologi, zeszyt trzeci (obejmuje utwory Fr. Copée, Reinsteina, Aspisa, Londyńskiego (Bruno Las), Jankowskiego)	—	40
Nr. 51.	Kuzynek, kom. w 1 akcie, M. Bałuckiego	—	40
Nr. 52.	Bilecik miłośny, komedyjka w 1 akcie, M. Bałuckiego	—	40
Nr. 53.	Koniki polne, kom. w 3 aktach, A. Walewskiego	—	60
Nr. 54.	Reprezentant domu Müller i Spółka, komedja w 1 akcie Wł. hr. Koziebrodzkiego	—	40
Nr. 55.	Werbel domowy, obrazek wiejski ze śpiewkami, w jednej odsłonie, J. K. Gregorowicza	—	40
Nr. 56.	W mamusi oczach, kom. w 1 akcie, Rosena, w tłómaczeniu A. Walewskiego	—	40
Nr. 57.	Stryj przyjechał, kom. w 1 ak. Wł. hr. Koziebrodzkiego	—	40
Nr. 58.	„Między nami nic nie było“, komedja w 1 akcie, A. Walewskiego	—	40